



ADA  
TULIŃSKA

# W CIEMNOŚCIACH

*Niektóre sekrety  
nigdy nie powinny ujrzeć  
światła dziennego*



ADA  
TULIŃSKA

# W CIEMNOŚCIACH



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik  
Wydawczyni: Joanna Pawłowska  
Redakcja: Natalia Sikora  
Korekta: Małgorzata Denys  
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski  
Zdjęcie na okładce: © LightField Studios / Shutterstock.com  
DTP: MELES-DESIGN

Copyright © 2021 by Adelina Tulińska

Copyright © 2021, Niegrzeczne Książki an imprint  
of Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2021  
ISBN 978-83-66967-25-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/niegrzeczneksiazki](https://www.facebook.com/niegrzeczneksiazki)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo KobiECE  
E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)  
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie  
[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

## PROLOG

**Z**a kolejny rok razem. – Paweł wzniosł toast i przecesał szpakowate, ostrzyżone po żołniersku włosy.

Katarzyna uśmiechnęła się do męża i uniosła swoje martini. Bawiła się przy tym ciemnobrązowym kosmykiem, doskonale wiedząc, jak to na niego działa.

– Mam coś dla ciebie. – Na białym obrusie wylądowało niewielkie zawiniątko, które Paweł nieudolnie chował przez cały wieczór.

Kobieta rozejrzała się po ekskluzywnej restauracji, upewniając się, czy nikt nie patrzy. Dwie pary były całkowicie zajęte sobą, puciołowaty mężczyzna przy oknie z wielką namiętnością pochłaniał deser, a kelnerzy zniknęli na zapleczu.

– Czy to coś szalonego? – spytała Kasia, puszczając mężowi oko. Na tle wielkiego okna wychodzącego na roziskrzone światła Poznania wyglądała jak gwiazda filmowa. Pośród nieregularnej zabudowy dumnie wyrastały oświetlone wieże katedry, a w tle majaczyły nowoczesne biurowce zwane potocznie poznańskim Manhattanem. Obok nich widać było kształty pozostałych budowli. Widok zapierał dech w piersiach. Paweł postanowił zrobić żonie zdjęcie telefonem. Uśmiechnęła się szeroko, kiedy poprawiał kadr.

– W pewnym sensie, Oliwka pomagała mi wybierać – oznajmił, klikając i pokazując żonie swoje dzieło. Pokiwała

głową i znowu spojrzała na prezent. Żałował, że nie wziął jednak czegoś bardziej niegrzecznego. Żona najwyraźniej miała ochotę na coś zwariowanego. Może dałaby się namówić na numerek w lesie? Wydęła wargi, udając niezadowolenie. W jej piwnych oczach czał się łobuzerski ognek.

– Czyli to coś nudnego – podsumowała przekornie.

– Sama sprawdź, a nie od razu zakładasz najgorsze! – Paweł wskazał brodą prezent i ustawił nowe zdjęcie na tapetę w telefonie.

Katarzyna zaczęła rozpakowywać miękkie, luksusowy papier. Jej oczom ukazały się dwie małe, niesymetryczne filiżanki do espresso, szafirowe ze złożonym środkiem. Były tak zachwycające, że na chwilę wypadła ze swojej roli.

– To rękodzieło sprowadzone z Francji. Chciałem coś z biżuterii, ale Oliwka powiedziała, że porcelanowa rocznica wymaga odpowiedniego akcentu – mówił Paweł, nadal niepewny, czy prezent przypadnie żonie do gustu.

– Są przepiękne! – pisnęła na wydechu, przyglądając się szlachetnej porcelanie i obracając ją w palcach.

Dąbrowscy byli zamożną rodziną. W suterenie swojej niewielkiej, podmiejskiej willi prowadzili prywatny gabinet stomatologiczny. Paweł przyjmował pacjentów, Katarzyna prowadziła księgowość i załatwiała wszystkie formalności. Co prawda ich wspaniała rezydencja na obrzeżach miasta była na kredyt, tak samo jak firma i samochody, ale wszystko było tak dobrze przemyślane, że dawali radę spłacić zobowiązania i wychodzili na plus. Dzieci chodziły do prywatnej, elitarnej szkoły i były zapisane na mnóstwo zajęć dodatkowych. Rodzina Dąbrowskich kilka razy w roku jeździła na wspaniałe wakacje za granicę. Paweł starał się

zapewnić swoim najbliższym możliwe najwygodniejsze i najlepsze warunki życia.

Gdy okazało się, że z prezentem trafił w dziesiątkę, wypuścił powietrze z ulgą i dyskretnie dał znak kelnerowi, że chce zapłacić rachunek. Zostawił zapłatę z niebotycznym napiwkiem w skórzanym pudełku, wstał i zdjął z wieszaka płaszcz, który pomógł włożyć żonie. Opuścili restaurację, trzymając się za ręce, i chwilę całowali się na parkingu, zupełnie jak gdyby to była ich pierwsza randka.

Paweł otworzył drzwi lexusa i zaprosił żonę gestem do środka. W drodze do domu rozmawiali w sposób nieprzeznaczony dla uszu osób poniżej osiemnastego roku życia. Paweł robił się coraz bardziej podniecony i zastanawiał się, czy nie skręcić gdzieś w boczną alejkę.

Samochód minął tabliczkę z przekreślonym napisem „Poznań” i znaleźli się na otoczonej wysokimi drzewami dwupasmówce prowadzącej do Zakrzewa.

Ich sprośne pogaduszki przerwał dzwonek telefonu Pawła. Nie zamierzał odebrać, ale dzwonek wybrzmiewał raz po raz.

– Może to coś poważnego? – stwierdziła Katarzyna, zerkaając na świecąca kieszeń marynarki na piersi męża.

– Cholera! – przeklął Paweł i wyciągnął telefon. – Dąbrowski, słucham?

Po chwili jego twarz pobladła, a drobne kropelki potu zaczęły spływać po czole. Rozmówca po drugiej stronie mówił szybko i najwyraźniej nie miał dobrych wiadomości.

– Rozumiem. Dziękuję za informację. Do widzenia – powiedział Paweł i zakończył połączenie. Ręka mu się trzęsła.

– Co się stało? – zapytała przerażonym szeptem Katarzyna. Jej mąż należał do ludzi, którzy charakteryzowali się

spokojem i wiecznym optymizmem. Jeżeli coś doprowadziło go do takiego stanu, oznaczało to naprawdę gigantyczne kłopoty. Paweł prowadził nieostrożnie, chaotycznie. Nerwowo dociskał pedał gazu, a licznik przekraczał sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Było widać, że jest bardzo zdenerwowany.

– Paweł? Może chcesz się zatrzymać? – zasugerowała delikatnie, wskazując dłonią na oświetloną na zielono stację benzynową.

Odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Dzwonił Arek. Frank podróżał. Saldo naszych kredytów wzrosło o siedemdziesiąt procent – wyrzucił z siebie zdławionym głosem.

Kasia zamrugała szybko oczami, nie wierząc własnym uszom, i powtórzyła ostatnie słowa. Miała wrażenie, że krew odpływa jej z twarzy. To oznaczało, że suma ich wszystkich opłat przekroczy zarobek. Suma zadłużenia przed krachem mogła sięgać dwóch milionów złotych, a teraz...

– Paweł, uważaj! – krzyknęła zniecierpliwiona.

Na ulicę wszedł przygarbiony pieszy w ciemnej kurtce z kapturem. Nie miał na sobie żadnych odblasków i był w zasadzie niewidoczny na tle czarnej, wilgotnej jezdni. Paweł skręcił gwałtownie, tracąc panowanie nad samochodem. Gumowe opony zapisały na mokrym asfalcie. Lexus wpadł w poślizg i zderzył się czołowo z nadjeżdżającym z naprzeciwka tirem.

*Półtora roku później...*

## ROZDZIAŁ 1

**D**ominik, czas do szkoły! – Potrząsnęłam młodszym braci-  
szkiem, który smacznie chrapał w spranej, szarawej  
pościeli. – Na blacie w kuchni czeka śniadanie.

Mały usiadł na łóżku i przetarł brązowe oczy. Wyglądał  
przy tym jak słodki, niewyspany aniołek.

– Znowu pasztet? – zapytał sennym głosem.

– Nie marudź, wstawaj – powiedziałam, pakując mu ka-  
napki do wyświechtanego tornistra. Chwyciłam małą butelkę  
i zaczęłam przelewać do niej wodę z filtra.

– Dzisiaj jest wtorek, dzień soku – przypomniał, zakładają-  
c na stopę krzywo zacerowaną skarpetkę.

Zakręciłam korek i włożyłam butelkę między podniszczo-  
ne książki, obok kanapek. Odwróciłam się do niego z prze-  
prasującym wyrazem twarzy.

– Przykro mi, skarbie. Pan Mariański nie zapłacił mi jesz-  
cze za zeszły tydzień.

Ubrany i obrażony Dominik podreptał umyć zęby. Mia-  
łam wrażenie, że idzie z zamkniętymi oczami, by przespać  
się jeszcze trochę po drodze. Gdy wrócił, usiadł na taborecie  
i sięgnął z obrzydzeniem po kanapkę.

– Nie jest taki zły! A na pewno lepszy niż konserwa tury-  
styczna – bezskutecznie próbowałam bronić smaku taniego  
pasztetu drobiowego.



Młody przewrócił oczami i popił pierwszego nieszczęsnego gryza słodką herbatą. Ja w tym czasie zaczęłam chować pościel i składać kanapę. Później będzie służyć za miejsce do nauki dla Dominika.

Chwyciłam grzebień i w pośpiechu uczesałam blond włoski braciszka.

– Dzisiaj bez numerów w szkole, dobrze? Bądź grzeczny! – poprosiłam. Nie miałam ochoty po raz trzeci w tym tygodniu rozmawiać z wychowawczynią przez telefon.

– Ale oni się ze mnie nabijają – powiedział Dominik, odkładając kanapkę.

– To nie ma znaczenia. Musisz być mądrzejszy – odparłam.

– Mówią na mnie salonowy piesek z rynsztoka. Co to znaczy?

Zacisnęłam zęby i poczułam, jak coś się we mnie gotuje. Z wściekłości połamałam kilka zębów w plastikowym, czerwonym grzebieniu. Dobrze, że przy okazji nie rozciąłam małemu skóry na głowie. Miałam problemy z panowaniem nad sobą, kiedy coś mnie rozzłościło.

– Który to taki mądry? – zapytałam w końcu.

– Wiktor Zaręba – odpowiedział Dominik.

– Odgryź się temu mądrali. Możesz powiedzieć, że... Wiktor Zaręba, brzydka gęba. Albo wiem, lepiej, Wiktor Zaręba, obleśna gęba! – rzuciłam z dziką satysfakcją.

– Ale...

– Chcesz, żeby się z ciebie dalej nabijali?

– Nie, ale...

– No właśnie! Musisz pokazać, że się nie boisz! – powiedziałam, wkładając mu trampki, i wysłałam go do łazienki, by jeszcze raz umył zęby. Dzieci dentyści.

Wyszliśmy pięć minut później i biegliśmy w kierunku szkoły publicznej mieszczącej się przy ulicy Berwińskiego.

W powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów. Minęliśmy niewielką kwiaciarnię, przed którą tęgawa kobieta z rudymi włosami poprawiała róże w wazonie. Widok naszej dwójki w pośpiechu nie był dla niej nowością.

– Już po dzwonku – oznajmiła i wskazała ręką na zegarek na przegubie. Podziękowałam jej i pociągnęłam Dominika, by przyspieszył. Szkoła mieściła się w potężnym ceglany budynku w alei drzew. W całym Poznaniu znajdowały się ślady po pruskim budownictwie.

Pomachałam Dominikowi, zanim zdążył zniknąć w dziwnym tłumie rozwydrzonych uczniów, i ruszyłam szybkim krokiem do pracy. Wyciągnęłam serwetkę z niedojedzoną kanapką po bracie i pochłonęłam ją szybko na przystanku. Paszтет rzeczywiście nie powalał smakiem...

Wsiadłam do autobusu i złapałam się za uchwyt. Po chwili dostrzegłam faceta z notesem i identyfikatorem kilka metrów dalej. Obróciłam się gwałtownie i próbowałam wysiąść, ale było już za późno. Jakiś koleś zastawił mi drzwi. Popatrzyłam na niego, licząc, że moje szaroniebieskie oczy wyglądają wystarczająco niewinnie i mnie wypuści. Niestety. Autobus ruszył, a ja, chcąc nie chcąc, weszłam na schodek. W środku było tak dużo osób, że nie miałam szans przepchnąć się do tyłu. Zaczesałam ciemnobrązowe włosy na twarz, pragnąc się za nimi schować i ominąć kontrolę.

– Bilet proszę – powiedział krótko człowiek stojący na schodach, sprawiając, że serce podeszło mi do gardła. Założył przez głowę smycz z identyfikatorem i uśmiechnął się do mnie złośliwie, niczym kot, który właśnie dorwał mysz.

Zaczęłam udawać głupka, szukając nerwowo biletu w torbce. Bardzo dokładnie przejrzałam wszystkie przegródki portfela i wszystkie kieszenie. Kanar jednak czekał cierpliwie, bo był pewien, że nic to nie da.

– Nie mogę znaleźć – powiedziałam rozpaczliwie.

– Dowód osobisty. – Był nieugięty.

I teraz zaczynała się ta część, której nie lubiłam najbardziej. Zaczynałam płakać i opowiadać o wielkiej tragedii sprzed półtora roku, mówić o tym, jak sobie nie radzę z wychowaniem brata, że pracuję na dwie zmiany, żeby związać koniec z końcem, ale co miesiąc i tak zawsze jestem na minusie. Bez wyrzutów sumienia stwierdziłam, że mały dzieciak jest jak skarbonka bez dna, że mam jeszcze długi z czasów, kiedy mama była w szpitalu po wypadku. To wszystko była prawda, ale nie lubiłam tego wykorzystywać. Tym razem trafiłam na człowieka o kamiennym sercu.

– Akurat dzisiaj sprawdzałem kobietę, która mi mówiła, że nie kupuje biletów, bo zbiera na bułkę. Potem ją widziałem z piwkiem na przystanku.

– Ja mówię prawdę. Nie jestem żulem, jestem po prostu biedna – wyznałam ze łzami w oczach. Ludzie patrzyli na tę scenę z politowaniem, sprawiając, że miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Kanar jednak miał zamiar dalej zgrywać „bohatera” na straży uczciwości transportu publicznego.

– Nie ze mną te numery. Wsiadamy – oznajmił.

– Nie mogę, spóźnię się do pracy – zaprotestowałam. – Proszę mi darować ten jeden raz.

Kontroler był nieugięty. Ludzie zaczęli kręcić głowami i mruzczyć, żeby dał spokój. Przyniosło to odwrotny skutek. Najwyraźniej tak samo jak ja nie lubił, kiedy ktoś mówił mu, co ma robić.

– Albo pani wysiada, albo wzywamy policję – warknął zniecierpliwiony. – Zatrzymanie autobusu odbędzie się na pani koszt.

– Dobrze już, dobrze – powiedziałam, przerażona, że mogę dostać jeszcze większą karę.

Kanar bez skrępułów wypisał mi mandat, a gdy dowiedział się, że nie mam przy sobie gotówki, z przyjemnością poinformował mnie, że jeśli nie zapłacę na miejscu, to należność będzie większa. Z rozpaczą popatrzyłam na wypisaną brzydkim charakterem pisma kwotę, która miała wartość trzech dni mojej pracy. Równowartość nowej zimowej kurtki dla Dominika, butów, pary nowych spodni ze sklepu. Równowartość naszego dwutygodniowego wyżywienia. Chciało mi się wyć, ale dumnie schowałam świstek do kieszeni, odwróciłam się na pięcie od tego przekłętego służbisty i pobiegłam przez park Wilsona do pracy.

– Jeszcze raz się spóźnisz i wylatujesz! – warknął Mariański, grożąc mi serdelkowatym palcem. – Ruszaj się, furgonetka czeka!

To był zły moment, żeby przypomnieć o zaległej wypłacie, więc skinęłam pokornie, chwyciłam torby ze środkami czystości i popędziłam na dół.

Pracowałam w firmie sprzątającej Pan Czyścioch, w której logo znajdowała podobizna naszego wyszczerzonego w komicznym uśmiechu szefa z mopem i szczotką do toalety. Na nieproporcjonalnie wielkich zębach znajdowała się gwiazdka symbolizująca błysk czystości. Po pierwsze, bardziej to wyglądało na reklamę pasty do zębów, chyba że Mariański mył w domu zęby szczotką do WC. Po drugie, było to wielkie kłamstwo, bo nigdy nie widziałam, żeby kiedykolwiek trzymał te przedmioty w ręku. Ten człowiek nie był dobrym pracodawcą.

Zapewniał jedynie umowę śmieciową, a część wypłaty i tak dawał pod stołem albo i nie dawał, w zależności od swojego widzimisię. Zawsze znalazł na kogoś haka, tu było coś niedokładnie, tu jakaś sprzątaczką zbiła wazon. Potem miał pretekst, by ucinąć nam głodowe pensje, a my i tak dziękowaliśmy za jego łaskawość. Część pracowników z Ukrainy pracowała na czarno. Jedyne plus tej pracy był taki, że Mariański zgodził się mnie zatrudnić od ręki i nie wymagał matury.

– Nie mam dobrych wiadomości – przywitał mnie Ka-jetan z ponurym uśmiechem. Wsiadłam do furgonetki na przednie siedzenie obok kierowcy.

– To znaczy? – spytałam, zapinając pas.

– Jedziemy do domu po starszej babci. Zmarła pięć dni temu, podobno już pod blokiem śmierdzi.

– O ja pierdołę – jęknęłam. Czy ten dzień mógł potoczyć się jeszcze gorzej?

Po pracy musiałam szorować się i nacierać ciało mydłem przez bite pół godziny, by zmyć z siebie zapach trupa.

W pośpiechu obrałam ziemniaki na obiad i wyjęłam twarożek z lodówki. Zostawiłam pyry we wrzątku, by nie marnować gazu, i pospieszyłam odebrać Dominika ze szkoły. Po drodze chwyciłam ze skrzynki wszystkie gazetki z pobliskich marketów i włożyłam do kieszeni.

– Co tak śmierdzi? – zapytał mój brat, gdy do mnie podbiegł. Powąchałam dyskretnie kołnierzyk mojej przeciwdeszczowej kurtki. Cholera jasna!

– Pewnie śmieciarka. Jak było w szkole? – zmieniałam temat, nie chcąc wdawać się w szczegóły dotyczące mojej pracy. Zabrałam od niego plecak i zarzuciłam sobie na ramię. Nic dziwnego, że jego pokolenie ma problemy z kręgosłupem.

Miałam wrażenie, że niosę worek pełen kamieni. Uśmiechnęłam się wesoło, próbując zatuszować swój kiepski nastrój, ale nie odpowiedział mi tym samym. Był jakiś niemrawy.

– Hej! – Dźgnęłam go łokciem.

– Dostałem pałę z matmy – przyznał się. – Pawlicka zrobiła niespodziewaną kartkówkę.

– Och, to niedobrze! Czemu się nie nauczyłeś? – zapytałam tonem pełnym troski. Powinnam dać mu chyba reprimendę, ale nie potrafiłam wejść w rolę karzącego rodzica.

– Próbowałem, ale... Zupełnie tego nie ogarniam – powiedział bezradnie i pokręcił głową.

– Co to za temat?

– Równania z jedną niewiadomą.

– Dobrze. Po obiedzie ci to wytłumaczę. – Poklepałam go po głowie.

Gdy młody jadł, ja przeglądałam gazetki i wypisywałam na kartkę produkty, które były teraz w promocji. Przed pracą chciałam wstąpić jeszcze po zakupy, kończyły się nam zapasy. Ucieszyłam się, gdy okazało się, że w jednym z marketów jest teraz promocja na sok pomarańczowy.

Wyjęłam jakieś stare rachunki, które nie były już dłużej potrzebne, i zaczęłam pisać po drugiej stronie.

– Dwadzieścia jeden podzielić przez x równa się siedem. To taka zagadka logiczna – wyjaśniłam, chcąc, żeby zaczął traktować naukę bardziej jak zabawę, a nie przykry obowiązek. – Ile siódemek mieści się w dwudziestu jeden?

Dominik wzruszył bezsilnie ramionami, a ja w tym czasie przełknęłam zimnego ziemniaka, którego on już nie mógł.

– To spróbujmy od drugiej strony. Siedem razy dwa to ile to jest?

Mały patrzył na mnie, jakbym mówiła do niego po łacinie.

– Dwadzieścia jeden? – próbował zgadnąć.

– Znasz tabliczkę mnożenia? – zapytałam cierpliwie. Nigdy nie byłam najlepsza z matematyki, ale wydawało mi się, że dziecko w jego wieku powinno mieć już nieprzyjemny obowiązek nauczenia się jej na pamięć dawno za sobą.

Dalej kręcił głową.

– Kurcze! – Chwyciłam podręcznik i znalazłam odpowiednią tabelę. – Zakuj na pamięć, zgoda?

Dominik pokiwał głową, ale miałam wrażenie, że myślami był gdzie indziej.

Spojrzałam na stary zegar z kukułką, wiszący nad wejściem do przedpokoju. Po raz któryś z kolei pożałowałam, że kukulka nie działa.

– Cholera, cholera, cholera! – Zerwałam się jak poparzona z podłogi i zaczęłam pędzić w kierunku przedpokoju. – Dominik, bądź grzeczny i połóż się spać przed dziewiątą.

Mieliśmy taką umowę, że kładł się na sofie pod kocem, a kiedy wracałam, to rozkładałam nam kanapę. Odpowiedział coś niemrawo, ale nie miałam czasu już z nim dyskutować. Wybiegłam błyskawicznie i ruszyłam w stronę centrum. Nie zdążyłam po zakupy, tak jak sobie wcześniej zaplanowałam, więc miałam nadzieję, że uda mi się dzisiaj coś wynieść z kuchni po pracy.

Wieczorami dorabiałam jako kelnerka w restauracji Chicks'n'Shakes. Był to przybytek żywcem zerznięty z amerykańskiego baru Hooters. Chodziłam ubrana jak niegrzeczna cheerleaderka w kusych szortach zamiast spódniczki. Nie zrezygnowałam z tej pracy tylko dlatego, że napiwki pozwalały mi spłacać kredyt i częściowo opłacić czynsz za naszą kawalerkę.

Po śmierci rodziców podjęłam kilka fatalnych w skutkach decyzji. Poszłam za radą naszego doradcy finansowego i wszystko straciłam. Zamiast zrzec się spadku i długów, sprzedałam dom z gabinetem, wszystkie aktywa i dobra materialne. Oferta była tak przygotowana, że byłam pewna, iż zostanie nam jeszcze wystarczająco dużo funduszy, by kupić niewielkie mieszkanie w Poznaniu. Gdy tylko transakcja doszła do skutku, Arkadiusz wziął swoją prowizję, obrócił się na pięcie i tyle go widziałam. W końcu udało mi się go odnaleźć. Próbowałam odzyskać choćby część pieniędzy, błagałam go, żeby jakimś cudem unieważnił transakcję i nam pomógł, ale rozłożył bezradnie ręce. Przyrzekałam sobie, że tak tego nie zostawię, i zwróciłam się o pomoc do profesjonalisty, licząc, że prawo będzie stało po mojej stronie. Niestety radca prawny powiedział, że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. Część kredytów udało się spłacić, ale i tak byliśmy sporo na minusie. Zostało mi siedemnaście lat spłacania rat po tysiąc dwieście złotych miesięcznie. Za nic. Zostaliśmy bez mieszkania i środków do życia. Jaka ja byłam głupia i naiwna! Nie mogłam uwierzyć, że los tak strasznie nas ukarał.

Szczęście w nieszczęściu miałam skończone osiemnaście lat, więc mogłam ubiegać się o adopcję Dominika.

– Wszystko w porządku, Loli? – spytała Daga, moja koleżanka z pracy. Przystanęła z drugiej strony za barem. – Strasznie zbladłaś.

– Tak... – powiedziałam niewyraźnie i przejechałam ścierką po czystym blacie, unikając jej wzroku. Byłam na granicy wybuchu. Nic nie było w porządku! Nie kupiłam tego głupiego soku dla Dominika, dostał pałę z matmy, a w dodatku widziałam dzisiaj na własne oczy płyny ustrojowe po trupie. Miałam wrażenie, że to wszystko mnie przerasta.



Daga już więcej nie próbowała zagajać. Przez całą zmianę rzucała mi tylko pełne troski spojrzenia. Pracowałam bez tchu, żeby zebrać jak najwięcej napiwków. Liczył się każdy grosz. Pod koniec pracy miałam w swoim fartuszkowi prawie pięćdziesiąt złotych. Wbrew pozorom napiwki nie były aż tak wysokie, jak by można było się tego spodziewać po naszych strojach. Grupą docelową była średnia klasa robotnicza. Nie serwowano tu kawioru czy drogiej whisky. Nie było nawet można palić, o drogich cygarach nie wspominając. W menu królowały kurczaki z frytkownicy i piwo.

Gdy wreszcie skończyła się zmiana, zmyłam podłogę na sali i poszłam usiąść na chwilę w kuchni. Za ladą krzątał się nasz kucharz, Krzysiek. Był wysoki i szczupły. Czasami zastanawiałam się, jak taki chudzielec jest w stanie dźwigać takie ciężkie garnki. Puścił mi oko i wyłożył na talerze po sporej porcji dań, które nie mogły już czekać do jutra. Usiedliśmy przy wydawce na twardych taboretach. Rzuciłam się na jedzenie jak wilk. Moi znajomi z pracy przyglądali się temu przedstawieniu z markotnymi minami. W połowie jedzenia przypomniało mi się, że muszę się zatrzymać. Popiłam wszystko szklanką wody z cytryną, by dopełnić żołądek. Przełożyłam nienaruszone udko i kilka frytek do opakowania na wynos. Moi koledzy z pracy chyba domyślali się, co robię, ale dzięki Bogu oszczędzili mi wstydu i darowali sobie komentarze.

Krzysiek wyczarował trzy corony z terminem ważności do dzisiaj i otworzył nam piwa za pomocą zapalniczki. Oho, czyżby szykowałam się kolejna motywacyjna gadka? Daga i Krzysiek, zresztą tak samo jak reszta załogi, bardzo mnie wspierali i tylko dzięki nim nie weszłam na najwyższy budynek i nie wykonałam ostatniego w swoim życiu, popisowego

sroku. Musiałam być silna dla Dominika, a te wspólne posiadówki po zmianie pozwalały mi się na chwilę wyluzować i zapomnieć o tym, że jutro czeka mnie kolejny koszmarny dzień. Nie miałam ochoty poruszać teraz ciężkich tematów.

– Wpadłam na pewien pomysł – powiedziała w końcu Daga, obracając kufel w rękach.

– Tylko się nie denerwuj! – uprzedził mnie Krzysiek. – To bardzo dobry pomysł.

Upiłam łyk piwa i oparłam rozgrzane czoło o zimne szkło. Byłam padnięta po całym dniu na nogach. Wolałam już mieć to za sobą.

– Strzelaj.

– Zrobimy zrzutkę. – Daga odgarnęła grzywkę ze spoczonego czoła i popatrzyła mi intensywnie w oczy.

– Nie. Dam sobie radę.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Zabolalo mnie to, że rozmawiali o mnie za moimi plecami.

– Ale chodzi o taką globalną zrzutkę! To się nazywa crowdfunding. Opiszemy waszą historię od śmierci rodziców poprzez zawiłości związane ze spadkiem i w końcu przedstawimy, jak sytuacja wygląda teraz – mówiła Daga, a jej pełne nadziei oczy błyszczały w bladym świetle kuchennych jarzeniówek.

Kręciłam głową, wznosząc wzrok do sufitu.

– Mam dwie ręce. Póki mi starczy sił, nie będę żebrać.

– Loli... Nie traktuj tego tak. Jesteś przemęczona... – powiedział Krzysiek.

Trudno mi było się nie zgodzić. Tego dnia czułam się jak ścierka do podłogi, którą ktoś zanurzył w brudnej, błotnistej wodzie, a potem wyjął i rzucił w kącie. Zacisnęłam powieki, żeby się nie popłakać.

– Pomyśl o Dominiku. W ogóle nie masz dla niego czasu, pracujesz po czternaście godzin dziennie... – dodała Daga.

– Dominik jest już duży. Poradzimy sobie – stwierdziłam urażona. Nie lubiłam, kiedy ktoś się wtrącał, a już na pewno nie miałam ochoty dzielić się naszą historią w internecie. Było wielu więcej, którzy mieli gorzej.

– Oliwia! Co ci szkodzi spróbować? – zapytał Krzysiek.

Wstydziałam się przyznać, że nawet nie mamy w domu komputera ani internetu.

– Nie, nie...

– My się wszystkim zajmujemy. Daj nam tylko wasze zdjęcie, żeby uwiarygodnić akcję – zapewniła mnie Daga.

– Nie chcę nikogo naciągać – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Chore na białaczkę dzieci na pewno bardziej potrzebują pieniędzy niż my.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Nikt ci nie każe zabierać dzieciom – odrzekł Krzysiek, stukając się palcem w czoło. – Pomyśl, ludzie będą wpłacać niewielkie kwoty. Pięć złotych, dziesięć, nie odczują tego. W kupie siła...

Ponieważ nie odpowiedziałam, Daga poczuła, że zaczynam mięknąć.

– Pomyśl, że ten pieprzony kredyt znika. Za miesiąc jesteś bez tego bagażu. Masz ponad tysiąka więcej, możesz kupić Dominikowi jakąś ładną książkę, nowe trampki. Możesz wejść do sklepu bez kalkulatora i listy. Możesz wreszcie zjeść cały posiłek... Zacząć żyć jak człowiek.

Gdy mówiła, łzy zbierały mi się pod powiekami, w końcu wybuchłam niekontrolowanym płaczem i się zgodziłam.



**SZUKASZ PIKANTNYCH OPOWIEŚCI?**

Zajrzyj do najgorętszego miejsca w sieci!

STREFA

**Niegrzecznych Książek**

Ponad **dwadzieścia**  
**kategorii** i **tysiące**  
**książek** czekają  
właśnie na Ciebie!



[www.niegrzeczneksiazki.pl](http://www.niegrzeczneksiazki.pl)

